

# Trump a sprawa polska

18 listopada 2016

Nie od dziś wiadomo, że polski dyskurs publiczny jest wyjątkowo zideologizowany i/lub upartyjniony. Jeśli ktoś jest prawicowcem, najczęściej przyjmuje prawicowość z całym dobrodziejstwem inwentarza, z urzędu broniąc wszystkich, nawet najgłupszych, prawicowych pomysłów. Gdy ktoś jest lewicowcem, zwykle nie zastanawia się, czy na pewno wszystkie postępowe postulaty są uzasadnione i odpowiadają polskim warunkom – są według niego uzasadnione, bo tak już ustalono gdzieś na Zachodzie, a jeśli polskie społeczeństwo krzywo na nie patrzy, to tym gorzej dla społeczeństwa. Nieszablonowe koncepcje są z gruntu uznawane za podejrzane, a komentatorzy i myśliciele wymykający się tradycyjnym podziałom – uważani za odszczepieńców i outsiderów. Jeśli nie jest się hard pisowcem lub bezkrytycznym platformersem, można zapomnieć o błyskotliwej karierze w jednej z tych partii – i mieć co najwyżej nadzieję na zostanie szeregowym posłem z szóstego miejsca na liście.

Przez długi czas podziały te nie przenosiły się bezpośrednio na debatę na temat stosunków międzynarodowych. Istniał nad Wisłą konsensus co do ogólnych kierunków polityki zagranicznej, takich jak integracja ze strukturami UE i NATO, a przy poszukiwaniu potencjalnych sojuszników za granicą mało komu przychodziło do głowy, żeby szczegółowo analizować ich poglądy na aborcję. Niestety, druga dekada XXI wieku przyniosła w tej materii wyraźną zmianę na gorsze. Ideologiczne podziały zaczęły być wprost przenoszone na dyskusje o polityce zagranicznej Polski, a ideologiczne argumenty – odgrywać w tej debacie pierwszorzędą rolę. Prym pod tym względem wiedzie prawa strona, która przez lata chciała uchodzić za pragmatyczną zwolenniczkę realpolitik, w odróżnieniu od lewicowych idealistów. Tymczasem od pewnego momentu zaczęła gremialnie kibicować niebezpiecznym dla

polskiego interesu prorosyjskim politykom z zagranicy, takim jak Le Pen we Francji, Hofer w Austrii czy ugrupowanie Alternatywa dla Niemiec, tylko dlatego, że przyjmują bliską jej konserwatywną optykę. Zaczęła też fetować zdarzenia i procesy groźne dla Polski, takie jak Brexit czy dezintegracja UE, tylko dlatego, że przy okazji utarto nosa nie lubianemu przez nią europejskiemu i krajowemu establishmentowi. Kulminację tego absurdałnego procesu przyniosło zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA.

Chłodna analiza postulatów, z którymi Trump szedł do władzy, odeszła w cień – ważniejsze, że przegrała kandydatka, która popiera aborcję do 9. miesiąca ciąży. Fakt, że nowym POTUS (President Of The United States) został kandydat jawnie prorosyjski oraz podważający bezwarunkowość Paktu Północnoatlantyckiego, będącego fundamentem polskiej architektury bezpieczeństwa, przestał mieć większe znaczenie – istotniejsze, że „liberalne elity” dostały po głowie. Tak, jakby szczęście lub nieszczęście CNN albo „New York Timesa” miało dla Polski większą wagę niż zgodnie działające NATO.

Tymczasem z punktu widzenia interesu naszej wspólnoty politycznej Donald Trump był najgorszym z kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Największym obecnym zagrożeniem polskiego bezpieczeństwa jest agresywna polityka Moskwy. Do czego zdolna jest Rosja Putina, mogliśmy się przekonać po aneksji Krymu, zupełnej destabilizacji jednego z bardziej rozwiniętych terytoriów Ukrainy, jakim był Donbas, a przede wszystkim po rzezi ludności cywilnej w syryjskim Aleppo, przeprowadzonej byle tylko utrzymać przy władzy wygodnego Baszara al-Asada.

Najważniejszym strategicznym celem Polski jest obecnie dokończenie włączania terytorium naszego kraju w infrastrukturę zachodniej sieci bezpieczeństwa. Czyli skończenie z sytuacją, gdy nasz kraj jest w NATO członkiem drugiej kategorii. To oczywiście zupełnie nie na rękę Rosji. Podejmowanie działań w tym kierunku spowoduje bez wątpienia

napięcia na linii NATO-Rosja. Trudno oczekiwać, że taką linię przyjmie POTUS, który nie tylko wypowiada się o Putinie ciepło, ale nawet wykorzystał rosyjskie ataki hakerów w kampanii wyborczej w USA – zdarzenie zupełnie bez precedensu. Trudno oczekiwać, że wbrew interesom Putina zacznie działać polityk, który co rusz zapewnia, że się z nim „dogada”, chwali się otrzymanym od niego „pięknym listem” oraz zdradza niezdrową fascynację rosyjskim przywódcą i powtarza, że tamten jest „prawdziwym, silnym liderem”. Który w pierwszych etapach kampanii otoczył się takimi ludźmi, jak związany z Gazpromem Carter Page oraz były doradca Janukowycza Paul Manafort.

Oczywiście możemy być pewni, że Trump potrafiłby się rzeczywiście dogadać z Putinem. Jednak będzie to czysto biznesowa transakcja – „coś za coś”. Trump nie jest szalony, jak twierdzą niektórzy komentatorzy. To cyniczny biznesmen, który może bez mrugnięcia okiem przehandlować marzenia Europy Środkowo-Wschodniej o większej obecności NATO na wschodniej flance, za ustępstwa Rosji w regionach bardziej interesujących USA – np. na Bliskim albo Dalekim Wschodzie.

Polscy zwolennicy Trumpa podkreślają, że administracja Demokratów, której Clinton byłaby kontynuatorką, jest winna „resetu z Rosją” oraz anulowania planów zainstalowania tarczy antyrakietowej m.in. w Polsce. Zapominają jednak, że „reset z Rosją” miał miejsce jeszcze przed inwazją na Ukrainę. Od tamtej pory kurs USA wobec Rosji wyraźnie się zaostrzył, czego przykładem jest chociażby ostatni szczyt NATO i decyzja o rozmieszczeniu w naszym regionie 4 rotacyjnych brygad. Oraz amerykańskie sankcje na Rosję, które Moskwie bardziej odbijają się bokiem, niż sankcje UE. Oczywiście chcielibyśmy zapewne nieco więcej niż rotacyjne brygady, ale możemy być raczej pewni, że od Trumpa nie uzyskalibyśmy nawet tego.

Kolejnym niebezpiecznym wątkiem w narracji Trumpa jest podważanie bezwarunkowej solidarności w ramach NATO. Mowa była nie tylko o możliwym braku pomocy dla sojuszników, którzy nie wypełniają swoich zobowiązań (chodzi głównie o wydatki na

armię na poziomie 2 proc. PKB), ale nawet o konieczności „płacenia więcej” za amerykańskie zaangażowanie. Takie biznesowe podejście to zabójstwo każdego sojuszu. Możemy sobie wyobrazić sytuację, w której zaatakowany członek NATO najpierw musi wynegocjować odpowiednią cenę za pomoc USA, zanim otrzyma wsparcie z tej strony. Bezwarunkowość zaangażowania całego sojuszu w konflikt z jednym z członków jest najważniejszym argumentem przeciw inwazji na najsłabszych uczestników. W sytuacji, gdy ta bezwarunkowość jest podważana przez najsilniejszego z sojuszników, straszak przestaje działać.

Oczywiście można bagatelizować powyższe uwagi, twierdząc, że to tylko słowa wypowiedane w kampanii, by zdobyć głosy wyborców. Tyle że pierwsze doniesienia pokazują, iż prorosyjskość Trumpa nie jest wydumana, a jego tezy dotyczące NATO znajdują zrozumienie w najbliższym otoczeniu, które będzie tworzyć jego gabinet. Prawdopodobnym Sekretarzem Obrony lub Doradcą ds. Bezpieczeństwa Narodowego (istotna funkcja, którą w gabinecie Cartera pełnił Brzeziński) jest emerytowany generał Michael Flynn. Jego związki z Rosją są więcej niż dwuznaczne. Jest regularnym analitykiem... stacji telewizyjnej Russia Today, czyli anglojęzycznej tuby propagandowej Kremla. Już po inwazji na Ukrainę pojawił się m.in. na uroczystym obiedzie z okazji 10-lecia RT, gdzie siedział przy jednym stole z samym Putinem. Michael Crowley z „Politico” stwierdził wręcz, że Flynn „darzy Rosję uczuciem”. Sekretarzem Stanu będzie prawdopodobnie Newt Gingrich, który w jednym z wywiadów powtórzył tezy Trumpa podważające bezwarunkową solidarność w ramach NATO, a Estonię nazwał... przedmieściami Petersburga, o które Rosja nie zaryzykuje wojny nuklearnej. Sprowadzanie suwerennego państwa do przedmieść byłej rosyjskiej stolicy, która leży 160 km od granic Estonii, doskonale obrazuje sposób myślenia otoczenia Trumpa o wschodniej flance NATO.

Niektórzy amerykańsi zwracają uwagę, że w polityce zagranicznej Trump zainspirowany jest Richardem Nixonem. Dla państw naszego regionu musi to być dzwonek alarmowy. Nixon

stawiał na powrót do koncepcji „koncertu mocarstw”, w której na temat porządku światowego ponad głowami maluczkich będzie negocjować pięć głównych sił globalnych – USA, ZSRR, Chiny, Europa i Japonia. W ramach tej polityki Nixon doprowadził zarówno do odwilży z Chinami, jak i z ZSRR. Oczywiście jesteśmy członkiem UE, a więc jednego z tych mocarstw w koncepcji Nixona, jednak w sytuacji postępującej dezintegracji Unii, której zresztą ochoczo przyklaskują polscy zwolennicy Trumpa, łatwo sobie można wyobrazić, że Europę w tym zestawieniu zastąpi najbliższy europejski sojusznik USA i najsilniejszy gracz na kontynencie, czyli Niemcy. Perspektywa ustalania swoich interesów przez USA, Niemcy i Rosję ponad głowami mniejszych państw naszego regionu musi jeżyć włos na głowie, nie zaś być powodem do fety.

Polscy zwolennicy Trumpa robią sobie nadzieje, że nowy POTUS, zgodnie ze obietnicą, doprowadzi do zniesienia wiz dla Polaków. Wydają się one jednak płonne. Zdecydowanie najważniejszym argumentem dla wyborców Trumpa za tym, by udać się do urn, był sprzeciw wobec imigracji (było to ważne aż dla 64 proc. jego zwolenników). Trudno przypuszczać, że Trump podejmie działania, które będą nie do przyjęcia dla 2/3 głosujących.

Niepoważne wydają się także nadzieje na zmianę gospodarczego paradygmatu rządzącego światem oraz poskromienie globalnych elit biznesowych. Twierdzenie, że Trump był kandydatem antyestablishmentowym, jest zupełnie niepoważne. To właśnie on wygrał w czterech najwyższych grupach dochodowych, nawet wśród osób zarabiających ćwierć miliona dolarów rocznie lub więcej. Tymczasem w najniższych grupach dochodowych dostał od Clinton łanie. Najlepszym dowodem na to, że elity biznesowe nie muszą się Trumpa obawiać, była reakcja giełdy nowojorskiej po wyborach, której indeksy zanotowały grubo ponad jednoprocentowe wzrosty – Dow Jones wzrósł nawet o 1,5 proc. Inaczej mówiąc, po wyborze Trumpa na Wall Street zapanował entuzjazm. Nic dziwnego, skoro zapowiedział on m.in. obniżkę

podatku korporacyjnego z 35 proc. na 15 proc., co ma według niego skłonić firmy w USA do zatrudniania ludzi, choć firmy te już teraz mają zakumulowane rekordowe ilości kapitału, a więc nic nie stoi na przeszkodzie, by zwiększały zatrudnienie. Nie robią tego chociażby dlatego, że łatwiejszy zarobek mogą uzyskiwać dzięki inwestycjom na zderegulowanych rynkach finansowych w USA. Tymczasem trudno mieć nadzieję, że były spekulant na rynku nieruchomości zamachnie się akurat na tę świętość.

Jedyne czego możemy oczekiwać, to zwiększenia barier handlowych, czego efektem może być np. odejście od koncepcji TTIP. Jednak umowy handlowe to nie całość otoczenia gospodarczego. Jeśli USA rzeczywiście znacznie obniżą podatki korporacyjne, to tylko przyspieszą „wyścig do dna” państw na całym świecie, które już teraz ścigają się w przyciąganiu kapitału preferencyjnymi stawkami podatkowymi. Pogłębi to tylko negatywne tendencje w globalnej gospodarce. Gdyby USA stały się czymś na kształt gigantycznego raju podatkowego, co w czasach rządów Trumpa jest całkiem możliwe, to o skutecznej walce z optymalizacją podatkową moglibyśmy zapomnieć na lata.

Bez wątpienia niektóre diagnozy Trumpa były celne. Globalny zliberalizowany handel oraz przepływ kapitału doprowadziły do stagnacji płac i pogorszenia się sytuacji mas pracujących Amerykanów. Jednak recepty, które stawia Trump, są najgorszymi z możliwych. Rozwiązaniem problemów zliberalizowanej światowej gospodarki nie jest zahamowanie integracji politycznej krajów Zachodu w połączeniu z jeszcze większymi preferencjami podatkowymi dla amerykańskich korporacji. A wprowadzanie antyimigranckich rozwiązań tylko jeszcze zwiększy napięcia wewnątrz społeczeństw.

W zwycięstwie Trumpa najgorsza jest jednak feta, jaka ma miejsce w Polsce. Tania satysfakcja z rzekomego „dokopania establishmentowi” (a w rzeczywistości tylko części liberalnego establishmentu polityczno-medialnego) przesłania interesy naszego kraju, które w wyniku wyboru Trumpa mogą ucierpieć.

Silna wspólnota bez wątpienia przetrwałaby Trumpa, Brexit, Le Pen, Hofera i Alternatywę dla Niemiec razem wzięte. Jednak wspólnota, w której debata o polityce zagranicznej jest zdominowana nie przez argumenty dotyczące dobra państwa, lecz przez ideologiczne spory, bez wątpienia poniesie porażkę. I to nie w efekcie takiego a nie innego wyniku wyborów w USA, lecz z powodu samej siebie.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: [NowyObywatel.pl](http://NowyObywatel.pl)